

## **Historia mojej małej Ojczyzny. Wspomnienia o żołnierzach SZP - ZWZ – AK Inspektoriatu Zamość oraz ich powojenne losy**

### *W cieniu wojny...*

Nasza Mała Ojczyzna – Zamojszczyzna... Malownicza, nieskażona, lecz doświadczona trudną historią. Uczymy się jej nie tylko z książek. Jeszcze żyją świadkowie okrutnych zdarzeń z czasów II wojny światowej.

Poranek 1 września 1939 dla rodziny Rutkowskich mieszkających wówczas na Wołyniu mijął spokojnie jak co dzień. Jednak, gdy trzynastoletnia Kazimiera włączyła radio, zamarła miła, domowa atmosfera. Ogłoszono, że Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę. Z daleka słychać było odgłosy bombardowanych miast. Na początku czerwca pan Longin - brat pani Kazimiery zdał maturę i zaraz został powołany na ćwiczenia przysposobienia wojskowego w zgrupowaniu niedaleko Lwowa. Tam też we wrześniu brał udział w działaniach wojennych. Wojna coraz szybciej nabierała tempa. Samoloty bombardowały miasta i drogi pełne uciekinierów. Działo się coraz gorzej; Niemcy zajęły połowę Polski. Żołnierze Wojska Polskiego, cofające się na wschód, stacjonowali między innymi u państwa Rutkowskich. Byli wszędzie: w sadzie, na podwórzu. Odpoczywali, jedli, oczekiwali na rozkazy. Mama pani Kazimiery piekła codziennie chleb i gotowała dużo jedzenia, by nakarmić wszystkich głodnych żołnierzy i uciekinierów. Wojsko wycofało się w kierunku Węgier, a następnego dnia jak grom z jasnego nieba spadła na wszystkich wiadomość, że 17 września Rosja Sowiecka zaatakowała Polskę. Małe grupy żołnierzy rozbrajały się i po ukryciu broni rozchodziły do domów. Większe jednostki, które ukrywały się po lasach zostały wzięte przez Rosjan do niewoli lub zostały rozstrzelane. Tamtejsi mieszkańcy ukrywali nie tylko rannych i chorych żołnierzy, którzy byli napadani, rabowani a nierzadko mordowani przez

Ukraińców. Ukrywali także dobrze zakonserwowaną broń, która mogła być przydatna do walki o wolność w późniejszym czasie.

Rosyjskie wojska dotarły daleko w głąb Polski, a po kilkunastu dniach cofnęły się na linię rzeki Bug. Przy pomocy Ukraińców i Żydów sympatyzujących z komunistami zaczęły się przesłuchania i aresztowania zwłaszcza oficerów powracających z wojny, nauczycieli, inteligencji i pracowników administracji polskiej.

Starszy brat pani Kazimiery – pan Longin Rutkowski pseudonim „Grot” wciąż był na froncie. Nikt nie wiedział, czy żyje i gdzie przebywa. Często pytano o niego, NKWD przesłuchiwało jego ojca. Ku zaskoczeniu rodziny okazało się, że brat żyje i ukrywa się u kuzynów, którzy pomogli wyrobić mu „lewe” dokumenty - że jest samotny, bo jego rodzina zaginęła w czasie bombardowania Łucka. Ojciec przesłał mu wiadomość, by nie wracał, gdyż jest poszukiwany. Oficjalna wersja brzmiała : „Longin nie żyje. Zginął na wojnie”.

W zimie 1940 r. było bardzo mroźno, wielkie zaspasy śniegu utrudniały komunikację. Znowu zaczęto aresztowania i przesłuchania. Zabrano ojca. Kilkakrotnie dokonano rewizji domu, w którym mieszkał. Bezskutecznie szukano broni. W końcu go uwolniono.

22 czerwca 1941 roku w niedzielę rano armia niemiecka uderzyła na Sowieców. W poniedziałek byli już nieopodal Wołynia, w odległości około 40 kilometrów. Sowietnicy uciekali, gdyż Niemcy zabijali bądź zabierali do niewoli. Niedaleko domu, przy drodze rozstrzelano około 100. żołnierzy. Płonęły całe gospodarstwa. Skończyła się niewola sowiecka, zaczęła niewola niemiecka.

Pan Longin nie obawiał się już aresztowania, więc wrócił do domu. Codziennie obsługiwał radiostację, która dostarczała prawdziwych informacji o tym, co się dzieje na świecie. Za każdym razem przenosił ją w inne miejsce. Formowała się nowa władza, do głosu zaczęli dochodzić nacjonaści ukraińscy. Niemcy zorganizowali silną policję. Zaczęła działać prasa konspiracyjna – drogą przez Lwów docierali łącznicy Rządu Polskiego organizujący na emigracji

armię podziemną. Należało być bardzo ostrożnym, gdyż Ukraińcy wszędzie szpiegowali i donosili do Niemców. Zebrania odbywały się potajemnie.

Rzeczywistość była okrutna. Często dawały się słyszeć wystrzały, które świadczyły o ćwiczeniach powstańczej armii ukraińskiej na co Niemcy przymykali oko. Na brata pani Kazimiery, miejskiego nauczyciela i jednego z wojskowych wydano wyrok śmierci, gdyż tworzyli oni polską organizację obronną. Polacy budowali rozmaite kryjówki, by ukryć broń, ludzi, żywność. Młodzież uczyła się posługiwania bronią, dziewczęta były szkolone jako łączniczki lub sanitariuszki. Na wschód od Wołynia, w okolicach Dubna mordowano, palono całe wsie, osiedla. Spontanicznie powstawały oddziały polskiej samoobrony. Ataki przesunęły się na zachód. 12 lipca napadnięto wieś oddaloną o 2 kilometry. Natychmiast podjęto decyzję o niezwłocznej ucieczce.

Rutkowscy przenieśli się do miasta Włodzimierz; ukryli się u kuzyna. Niemcy robili częste obławy, zamykali ulice, zabierali młodzież na przymusowe roboty. Mężczyźni szli do lasu, do partyzantki. Niedaleko Włodzimierza znajdowała się cegielnia, gdzie ustanowiono punkt zborny do partyzantki. Z dnia na dzień coraz trudniej było młodym Polakom, zwłaszcza, gdy nie posiadali dokumentu potwierdzającego zatrudnienie. Wszystkich złapanych bez takich dokumentów wywożono na roboty do Niemiec. Pani Kazimiera została łączniczką, udało jej się zatrudnić na terenie koszar jako pomoc w kuchni – kucharką była ciocia. Bracia Rutkowscy wstąpili do partyzantki, która szykowała się do zimy. Zaopatrzenie pochodziło z koszar lub z wysadzonych pociągów z zaopatrzeniem udających się na wschód. Ważnym węzłem kolejowym był Kowel, gdzie często rabowano pociągi, korzystając z pomocy polskich kolejarzy. Niemcy zorientowali się, że mają do czynienia ze zorganizowaną polską armią podziemną. Zaczęto więc pacyfikacje terenów, gdzie ukrywała się partyzantka. Zorganizowano silną obronę kolei, lecz mimo to ciągle dochodziło do rabunków. Wzmocniono prześladowania mieszkańców.

Dowództwo partyzantki przekazało wiadomość o ewakuacji za rzekę Bug. Już w połowie stycznia większość z nich wyruszyła na zachód. Rodzina Rutkowskich pojechała do Uściługa, Zosina, a w końcu Hrubieszowa.

Wiosną Niemcy zaatakowali 27 Wołyńską Dywizję Armii Krajowej, co doprowadziło do rozbicia jej sił na kilka części. Jedni zdołali się przeprawić za rzekę Bug, drudzy przebili się przez linię frontu na tereny wyzwolone. Niestety wielu żołnierzy polskich poległo. Brat Zenek ocalał, na bieżąco kontaktował się z rodziną, jednak brat Longin odnalazł się dopiero po dwóch tygodniach – ciężko chory, ale żywy.

Niebezpieczeństwo rosło. Rutkowscy znów ruszyli w nieznane. Stan pana Longina znacznie się pogorszył. Udało się przewieźć go do szpitala w Zamościu, gdzie poinformowano ojca, że chory cierpi na tyfus plamisty. Z umieszczeniem go w szpitalu był problem, gdyż nie posiadał on dokumentów. Dzięki pewnemu lekarzowi i pielęgniarce umieszczono brata nielegalnie i rozpoczęto leczenie. Pozostali członkowie rodziny wyjechali do Świątnik, gdzie zostali do czasu wyzdrowienia Longina.

W lipcu Wojska Polskie i Sowieckie doszły do Wisły i front się zatrzymał do stycznia 1945 roku. Później wojska ruszyły na zachód. Państwo Rutkowscy postanowili wrócić na swoje na Wołyń. Z końcem marca wyruszyli. Po tygodniu podróży dojechali do Zamościa, gdzie skierowano ich do wsi jeszcze nie tak dawno zamieszkiwanej przez Ukraińców. Jednak i tutaj nie zaznali spokoju, ponieważ gdy tylko skończyło się przesiedlenie Ukraińców, nowa władza zaczęła robić obławy na Polaków należących do Armii Krajowej. W połowie kwietnia odbyła się obława we wsi, gdzie niedawno osiedliła się rodzina Rutkowskich. Poszukiwano członków 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej. Złapano starszego brata pani Kazimiery, młodszemu udało się uciec. Znów zrewidowano dom, doszło do aktu przemocy - uderzenia kolbą w głowę dziewiętnastoletniej Kazimiery. Zdemolowano mieszkanie, zabrano cenniejsze rzeczy. Aresztowano brata i wywieziono go nie wiadomo gdzie. Po tygodniu

wyszło na jaw, że siedzi w podziemiach Urzędu Bezpieczeństwa w Zamościu. Pani Kazimiera obserwując budynek z daleka, poznała znajomego ze wsi, który był kierowcą i trafił do wojska prosto z lasu, był swoim człowiekiem. Mówił, że widział brata i innych. Na razie nie mógł im pomóc, gdyż prowadzono przesłuchania połączone z biciem, po których zazwyczaj więźniowie nawet nie byli w stanie wrócić do celi – piwnicy o własnych siłach. Jednak później udawało się przemycać małe paczuszki dzięki pomocy znajomego. Po ośmiu tygodniach zmieniono sowieckiego komendanta. Trwały rozmowy z Rządem Polskim w Londynie w sprawie uwolnienia żołnierzy Armii Krajowej. Dzięki temu brat wrócił do domu, tydzień później zwolniono przyszłego męża pani Kazimieri – Jana Węclawika, który siedział z bratem w jednej celi. Pan Jan przyjechał w odwiedziny, motywując swój przyjazd wdzięcznością za paczuszki, które pomagały przeżyć. Pani Kazimiera i pan Jan zaczęli się częściej spotykać, jesienią wzięli ślub.

Pan Jan Węclawik pochodził ze Skierbieszowa, jego rodzinie wszystko zabrała wojna. Skierbieszów został wysiedlony, więc nowożeńcy musieli zacząć od zera. Wszystko zmierzało w dobrym kierunku, kiedy to nagle zaczęły się dziać dziwne rzeczy – ginęli ludzie, zwłaszcza byli żołnierze Armii Krajowej. Często w nocy przychodzili nieznajomi ludzie z bronią, wyprowadzali człowieka, który już nigdy nie wracał. Mąż pani Kazimieri ukrywał się, nie spał w domu. Kilkakrotnie ci ludzie przychodzili także po pana Jana, ale nigdy go nie zastali. W niedługim czasie pani Kazimiera urodziła syna, a ojciec pana Jana zachorował. Małżeństwo postanowiło wyjechać. W 1955 roku urodził się trzeci syn, niedługo potem zmarł ojciec męża. Zmęczona pracą, życiem, przeprowadzkami, wojną pani Kazimiera zachorowała na płuca. Leczyła się 2 lata, po czym poznańscy lekarze orzekli, że tutejszy klimat jej nie służy. Wraz z rodziną po 12 latach pobytu w Poznaniu powrócili jesienią na Zamojszczyznę - ojcowiznę męża, by znów zacząć od początku. Zastali ziemię zapuszczoną, a z zabudowań została tylko stodoła, przy której dobudowali

pokoik i kuchenkę. Postawili też oborę dla bydła na zimę, co nie spodobało się władzom, gdyż mąż to były żołnierz Armii Krajowej. Mimo to w końcu udało się dojść do porozumienia. Dzieci państwa Węclawików dorosły, usamodzielnily się. Od tego czasu pani Kazimiera i pan Jan mogli zająć się sobą i przejść na zasłużony odpoczynek.

Żyjemy w godnych warunkach, otoczeni troską i wsparciem. Mamy pełne szanse do prawidłowego rozwoju, możemy realizować marzenia. Nie zawsze jednak zdajemy sobie sprawę z tego, że naprawdę jesteśmy szczęściami, bo przecież nie dla wszystkich los okazał się aż tak łaskawy jak dla nas. Gdybyśmy

j

e

s

z

c

z

e

p

o

t

r

a

f

i

l

i

t

o

d